

. . . a r c h i p e l a g i . . .

---

Daniel Odija  
Kronika umarłych

---





. . . w serii ukazały się . . .

---

Wojciech Albiński *Achtung! Banditen!*  
Lidia Amejko *Żywoty świętych osiedlowych*  
Andrzej Bart *Rewers*  
Joanna Bator *Piaskowa Góra*  
Dawid Bieńkowski *Nic*  
Dawid Bieńkowski *Biało-czerwony*  
Szymon Bogacz *Koło kwintowe*  
Jacek Dehnel *Lala*  
Jacek Dehnel *Rynek w Smyrnie*  
Jacek Dehnel *Balzakiana*  
Jacek Dehnel *Fotoplastikon*  
Agnieszka Drotkiewicz *Teraz*  
Manuela Gretkowska *My zdies' emigranty*  
Manuela Gretkowska *Kabaret metafizyczny*  
Manuela Gretkowska *Tarot paryski*  
Manuela Gretkowska *Podręcznik do ludzi*  
Manuela Gretkowska *Namiętnik*  
Henryk Grynberg *Drohobycz, Drohobycz*  
Marek Kochan *Plac zabaw*  
Włodzimierz Kowalewski *Excentrycy*  
Wojciech Kuczok *Gnój*  
Wojciech Kuczok *Widmokrąg*  
Wojciech Kuczok *Opowieści przebrane*  
Wojciech Kuczok *Senność*  
Jarosław Maślanek *Haszyszopenki*  
Tomasz Piątek *Pałac Ostrogskich*  
Janusz Rudnicki *Chodźcie, idziemy*  
Janusz Rudnicki *Śmierć czeskiego psa*  
Sławomir Shuty *Zwał*  
Sławomir Shuty *Cukier w normie z ekstrabonusem*  
Sławomir Shuty *Ruchy*  
Mariusz Sieniewicz *Czwarte niebo*  
Mariusz Sieniewicz *Żydówek nie obsługujemy*  
Mariusz Sieniewicz *Rebelia*  
Marek Soból *Mojry*  
Wojciech Stamm *Czarna Matka*  
Magdalena Tulli *W czerwieni*  
Magdalena Tulli *Sny i kamienie*  
Magdalena Tulli *Tryby*  
Magdalena Tulli *Skaza*

. . . a r c h i p e l a g i . . .

---

Daniel Odija

---

Kronika umarłych

---

Copyright © by Daniel Odija, 2010  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2010  
Wydanie I  
Warszawa 2010

*Mojemu bratu – Markowi*



# CZEŚĆ I



## Przebudzenie

Jak zwykle było południe. Słońce grzało. Mateusz obudził się spocony. Nie, nie dlatego że było duszno. Przez kilka ostatnich nocy męczyły go koszmary, które skraplały się na jego skórze. Na szczęście nie pamiętał szczegółów, ale za każdym razem bał się, że sny mogą się powtórzyć. Dlatego zasypiał dopiero nad ranem i z bólem głowy budził się w środku dnia.

Wstał powoli, by nie potęgować pulsowania w skroniach, i otworzył drzwi od balkonu. Owionęła go fala wilgotnego powietrza zalewająca miasto od strony morza. Pachniało rybami. Spaliny nie psuły ożywczego zapachu, bo ulica, na której mieszkał Mateusz, nie należała do ruchliwych. Jako jedna z niewielu była brukowana przedwojenną kostką. Niemcy w latach dwudziestych sprowadzili tu specjalny kamień z Norwegii. Gdy padał deszcz, bruk zaczynał lśnić stalowym różem, a ulica pachniała północnymi morzami. Kiedy przejeżdżał samochód, szyby w dużych czteropiętrowych kamienicach dzwoniły jak sople lodu

rozbijające się o chodnik. Ale dzisiaj jaśniało lato. I ci, którzy szli w prawo, prawdopodobnie udawali się do parku, a ci, którzy szli w lewo, trafiali zapewne do kościoła, po mszy zaś, jeśli mieli ochotę, mogli iść na promenadę.

Była niedziela i ludzie nigdzie się nie spieszyli. Z wysokości drugiego piętra Mateusz obserwował kilkunastuosobowe grupki cieszące się słońcem, choć co wrażliwszych, szczególnie przyjezdnych, mógł denerwować chłodny wiatr, który niósł w górę roześmiane głosy. Ta wesołość pogłębiała przygnębienie Mateusza. Nie lubił niedzieli, bo wtedy wszyscy mieli wolne. On miał wolne każdego dnia. I w dni powszednie cieszyła go świadomość, że inni coś muszą, podczas gdy on nie musi nic. Niedziela odbierała mu tę radość. A lato dodatkowo go rozdrażniało, bo większość miała urlopy.

Kurwa mać, znowu Kostyń! Niewielkie nadmorskie miasto, w którym można oszaleć z nudów. Jeszcze trzy miesiące temu Mateusz nawet by nie pomyślał, że wróci ze Stolicy i zamieszka u matki...

Na początku cieszyła się z jego przyjazdu. Od śmierci ojca doskwierała jej samotność. Ale po jakimś czasie przestała go zauważać. Nie potrzebowała go. Wystarczyło jej towarzystwo bohaterów seriali i teleturniejów.

– Pieprzone mewy – burknął pod nosem Mateusz.

Nie lubił ptaków, zwłaszcza ich piskliwego krzyku, a jednak fascynowały go. Obserwował je każdego dnia. Uważał nawet, że był świadkiem narodzin swoistej pta-

siej hierarchii, na której szczycie znajdowały się mewy srebrzyste, sprawujące totalitarne rządy. Te ponadpółmetrowe drapieżniki przyleciały do Kostynia ze Skandynawii. Minęły wschodnie wybrzeże Bałtyku i jakieś dwa lata temu osiadły w rodzinnym mieście Mateusza. Spadziste dachy poniemieckich budynków zastąpiły morderczym ptakom szczyty skandynawskich klifów. Zakreślenie łuku z zimnej Północy na równie zimne Południe zabrało im ćwierć wieku, ale w końcu dotarli, gdzie chcieli.

Z lotu ptaka Kostyń wyglądał pewnie jak drobny paproch w oku. Przylegał do morza niczym zaciśnięta pięstka do twarzy: niezbyt rozległa plama, upstrzona licznymi rondami i odnóżami ulic. Szare skupisko monumentalnych kamienic, poprzetykanych świeżo wybudowanymi maszkarami centrów handlowych, z cienką obręczą kolorowych blokowisk i skromnych dzielnic domków jednorodzinnych. Zieleń parków konkurowała z przybrudzonym seledynem rzeki, która sunęła wzdłuż ulicy Mateusza, szerokim zakolem okrążała stary cmentarz i rozpuszczała się w atramentowym morzu.

Mateusz żałował, że widok na rzekę zasłaniały mu przeciwległe kamienice. Jeśli nie chciał patrzeć w zaślepienie firanami okna sąsiadów, mógł spojrzeć w prawo, ale tam ulica kończyła się skrzyżowaniem zamkniętym kolejnymi kamienicami. Trzeba było przeskoczyć wyobraźnią parę przecznic i kilkanaście budynków, by znaleźć się w parku. Na drugim końcu ulicy był plac z kościołem, także zasłoniętym przez kamienice. W oddali

majaczyły pierwsze szeregi drzew rosnących wzdłuż promenady, ale nie było widać ani kawałeczka morza. Lewa perspektywa zawsze była dla Mateusza niespełnioną obietnicą. Kusila zapachem fal i morskim krajobrazem. By go zobaczyć, należało ruszyć się z miejsca. A dziś Mateuszowi nie chciało się wychodzić, choć wiedział, że zaraz i tak zostanie do tego zmuszony... Na razie z braku ciekawszych widoków obserwował niebo.

Na błękitnym tle mewy srebrzyste rozkładały swoje dwumetrowe ramiona i wypatrywały ofiar jak gotowe do skoku pająki. Żywiły się głównie rybami, ale zdarzało się, że pustoszyły gniazda gołębi. Wczoraj jedno z takich gniazd rozbiło się przy bucie Mateusza, gdy wyciągał pieniądze ze ściany.

Nie czuł się dobrze. Miał wrażenie, że otwór bankomatu połączony jest pulsującym jelitem z kosmatym żołądkiem, który wypluwa na jego dłonie rentę matki.

Obok stały dzieci. Ze spokojem obserwowały, jak mewy rozprawiają się z trzema łysymi pisklętami, które wypadły z gniazda. Pierwsza wprawnie rozłupała łebek nieopierzonego ciała i porwała je w górę, uciekając przed drugą, silniejszą. W górze wyglądała, jakby zwisały jej z nosa krwawe gile. Druga ostrym żółtym dziobem rozerwała kolejnego pisklaka. Płetwiaste stopy pomagały jej utrzymać równowagę, gdy uderzała zniekształconym ochłapem o chodnik. Ofiara gładko przeszła przez komin mięsistej szyi. Dzieci patrzyły na to jak na kreskówkę. Zajadały ze smakiem chipsy,

a na ich twarzach malowały się i strach, i obojętność. Tak to widział Mateusz.

To wcale nie było śmieszne. Od rozstania z Radką Mateusz brzydził się ludźmi, choć wierzył jeszcze w dzieci. Ale i one zaczęły działać mu na nerwy. Wiedział, że musi coś wymyślić, by móc wciąż działać, wychodzić z domu, robić zakupy, płacić rachunki, nie unikać tłumu... I wybrał absurdalnie. Mordercza aktywność mew podsunęła myśl o stworzeniu ptasiego bestiariów. Czuł, że coraz trudniej jest mu opanować wyobraźnię. Stała się zbyt zachłanna i potrzebowała mięsa. By ją zaspokoić, Mateusz powołał do życia świat, w którym mewy rządziły skrzydlatymi mieszkańcami Kostynia. Chwycił się ptaków, by trzymać się ludzi.

Zaobserwował na przykład, że w Kostyniu nie ma wróbli. Albo uciekły ze strachu przed olbrzymimi mewami, albo nie miały co jeść, bo ludzie zaczęli wyrzucać śmieci w grubych workach foliowych, których krótkie dzioby wróbli nie potrafiły przebić. Później przeczytał gdzieś, że to wina postępu cywilizacyjnego. Przybyło samochodów, konie zostały zastąpione przez traktory. Wróble żywiły się przede wszystkim niestrawionymi nasionami z końskiego łajna, gdy zabrakło łajna, zabrakło i wróbli.

To wszystko nie podważało rządów wielkich mew. Kawkom i wronom pozostała rola nerwowych padlinożerców. Żółte tęczęwki kawek z czarnymi wyspami źrenic skoncentrowane były wyłącznie na wypatrywaniu niebezpieczeństwa. Wrony z kolei zaczęły rodzić

się karłowate. Ale wiedzione instynktem, z czasem połączyły się z kawkami, a z ich jaj wykuło się pokolenie mieszańców, które Mateusz nazwie kawkami. Gołębie z rozpaczy, że już nigdy nie będą tak liczne, zaczęły knuć. Rozbudowana siatka inwigilacji, donosy na członków rodziny, pisarze wykształceni na sporządzaniu raportów, pęczniące kartoteki relacji ze spotkań i rozmów – to ich domena, efekt paniki i konieczności przystosowania się do nowych rządów. Były jeszcze drapieżne pustułki – ród buntowników. Dziwnie wyrosnięte jak na ten gatunek. Nie zwracały uwagi na rządy wielkich mew. Zajmowały szczyty trzech gotyckich kościołów, gardziły dachami współczesnych świątyń. Z wież wypatrywały osobliwych gryzoni, które kostryńscy kloszardzi nazywali szczurakami. Jeśli polowanie się udało, pustułki objadały się szczuropodobnym ścierwem.

O szczurakach Mateusz dowiedział się od Starego Molendy, o którym mówiono, że żył w mieście od zawsze. Podobno w młodości był genialnym matematykiem. Chcieli go na kilku uniwersytetach, nawet zagranicznych. Ale pewnego dnia poznał mądrość Księgi. Odtąd błąkał się po ulicach i przytułkach.

Tym razem szedł od strony kościelnego placu. Bełkotał coś do siebie, uśmiechając się pod nosem. Jak zwykle ubrany w ciemnogrnatowy garnitur i żółtą koszulę, która kiedyś była prima sort, jak by sam powiedział. W chłodne wieczory nakładał na siebie dodatkowo drugi garnitur, czarny jak smoła, a zimą jeszcze jeden –

szary w cienkie ciemno-beżowe paski. Garnitury były podniszczone i przybrudzone, krój miały staromodny, ale uszyto je z drogiego, niegniącego się materiału. Dla swojego właściciela stanowiły pewnie wspomnienie czasów, kiedy uchodził za eleganckiego mężczyznę. Ale dziś dźwigał płócienny plecak, wypchany fragmentami gazet, z których każdy zapowiadał katastrofę naszego świata, a z ręki do ręki przekładał pomarszczoną ze starości skórzaną walizkę, gdzie w specjalnych przegródkach troskliwie układał koszule, marynarki i spodnie. Miał dokładnie zaczesane siwe włosy, które ślinał i przyglądał plastikowym grzebieniem. Nie starczało mu jednak cierpliwości, by pozbyć się coraz dłuższego i gęstszego zarostu. Karmił gołębie, walczył z mewami, nigdy nie był pijany, ale od czasu do czasu wykrzykiwał w niebo swoje pretensje do świata. Potoki słów układały się w barwne odezwy, w których proroctwa zagłady brały górę nad wiarą w świetlaną przyszłość ludzkości. To właśnie Stary Molenda ostrzegał przed szurakami, tajemniczą społecznością, której nienawiść do ludzi może sprawić, że pewnego dnia potwory wyjdą z ukrycia.

Stary Molenda zniknął za rogiem, a Mateusz, jak każdego dnia, odkąd przyjechał ze Stolicy, wypatrywał z balkonu nadziei. Po raz setny w ciągu ostatnich tygodni próbował zrozumieć, dlaczego wrócił do Kostynia, dlaczego musieli się rozstać z Radką. Postanowił, że przemyśli to podczas codziennego spaceru, do którego coś zmuszało go zaraz po przebudzeniu.

Chodził wyznaczoną przez siebie trasą. Miał nadzieję, że przez siebie, bo czasami odnosił wrażenie, że jakaś obca siła pcha go nad morze, potem każe zatoczyć półkole i wrzuca w cichy chłód pustego kościoła, by w końcu pognać wzdłuż rzeki do parku Starych Drzew. Czasami szedł do Konrada, jedyne go kuzyna, zakochanego w swojej pięknej żonie Agacie oraz dwójce dzieci – Natalce i Michasiu. Spacer wytyczoną trasą uspokajał Mateusza. W jakiś sposób trzymał na wodzy rozzuchwaloną wyobraźnię, która atakowała falami chaosu. Mateusz czuł, że świat mu się wymyka. Punkty na mapie stawały się celami, których osiągnięcie przypominało mu, że wciąż chodzi po znanym od urodzenia mieście. Ostatnio coraz więcej zapominał. Bo też zbyt wiele się działo, by pamiętać zdarzenia sprzed chwili.

## Powrót

Jeszcze do niedawna Mateusz mieszkał z Radką w Stolicy położonej dwieście kilometrów na południe od Kostynia. Byli nawet szczęśliwi, dopóki pracował.

Radka to dzielna dziewczyna. Utrzymała ich z pensji zwykłej księgowej oddziału jednego z banków wykupionych przez zagranicznego inwestora. Nie wystarczało jednak na wiele. Skończyć z wynajmowaniem i zacząć żyć na swoim – takie było marzenie

Radki. Ale uparte podmuchy rzeczywistości rozwiewały jej sny o własnym mieszkaniu na poddaszu. Mateuszowi cała ta sytuacja nie przeszkadzała. Nie ma pracy – trudno. Chciał mieć święty spokój. Ale Radka była nieugięta. Wciąż mu powtarzała, żeby wziął się do roboty, bo czas ucieka, oni się starzejają, znajomi mają rodziny, a oni ani małżeństwo, ani rodzina, i nic odłożonego, nie stać ich nawet na kredyt mieszkaniowy...

Załatwiła mu robotę – przy kopaniu rowów pod kable telefoniczne. Nawet mu się spodobało. Wbijał szpadel w ziemię i wyobrażał sobie wszystkie przemiany ciała, zanim stanie się materią służącą do nawożenia. Przyglądał się przeciętym na pół dżdżownicom i ich konwulsyjnym skrętom. Właśnie dżdżownice zapamiętał najlepiej. W swoim wymyślnym katalogu zwierząt zaliczył je do rodu „robaczywców”. Robaczywce wywoływały śmiertelne choroby. Pożerały ludzkie wnętrza, wygryzały życie i wydalają przetrawione ciała trupów... Pewnego dnia wbił łopatę w coś twardego i zobaczył krew. Zaczął kopać ostrożniej. Okopywał jakąś owalną bryłę, aż spod ziemi wyjrzała wykrzywiona z bólu twarz Radki. Miała otwarte oczy i krwawe pęknięcie na czole. Mateuszowi zabrało tchu. Spocił się cały. Spojrzał w górę, w niebo, a niebo, martwe, nieruchome, jakby odlane z brązu, opadało jednolitą płachtą, która zabierała resztki powietrza. Z trudem pochylił głowę – Radki już nie było.

Chłopaکی z brygady leniwie wkopywali się w swoje kawałki ziemi. Pracowali na jakiejś brukowanej ulicy.

Mało kto tędy przechodził, prawie nikt nie przejeżdżał. Święty spokój. Dwie łopaty ziemi i krótka przerwa na splunięcie. Cztery łopaty i papieros. Puszczały ostatnie przymrozki. W powietrzu unosiły się pierwsze zapachy nadchodzącej wiosny. Mimo roboty dzień mógł być naprawdę miły.

Mateusz skulił się w swoim rowie, jakby bolał go brzuch. Wciąż walczył o złapanie oddechu. Z pustych gałęzi klonu, który nachylał się nad nim, zerwały się trzy wrony. Wyszły płuca znowu zaszumiały. Minęła sztywność karku. Mateusz zaczerpnął powietrza, zapach ziemi już go nie drażnił. Ale gdy wrócił do kopania, grudy stały się twarde jak żelazo. Ziemia zgęstniała od kawałków cegieł. Szpadel ześlizgiwał się z nich i chrząścił, jakby zanurzał się w stercie kości. Mateusz powtarzał sobie, że to nie kości, żadne kości, zwykły żwir. Po raz kolejny dotarło do niego, że ludzie, z którymi pracował, zaczynają za jego plecami wyzywać go od najgorszych. Oblał go zimny pot.

Już kiedyś przeżył coś podobnego. Na imprezie u znajomych z pracy Radki wypił za dużo i zaczął się szarpać z jakimś facetem. Podobno nie miał racji. Oskarżenia były bezpodstawne. Ocknął się przed lustrem w łazience. I choć wiedział, że przygląda się samemu sobie, zobaczył obcą twarz. Wtedy bardziej niż ból poczuł, że nienawidzi tej twarzy i jednocześnie bardzo się jej boi. W odpowiedzi na strach twarz obnażyła żółte, wilcze kły. Mateusz natychmiast uderzył i pysk sobowtóra wpadł w pajęczynę. Krew spłynęła po dłoni, potoczy-

ła się korytem przedramienia i zaczęła kapać z łokcia w zlew. Rana źle się zrosła i zaczęły się kłopoty z grą na trąbce. Stracił czucie w palcu wskazującym.

Rzucił pracę przy rowach. Miał już dość tych szeptów i spisków. Najgorsze, że gdy patrzył swoim prześladowcom w oczy, zachowywali się, jakby nic się nie stało. Któregoś razu strząsnął ziemię z butów i zrezygnował. Radka krzyczała potem: „Te twoje głupie tłumaczenia! Wszyscy przeciwko tobie! Chcą cię zgwałcić, zgładzić i zniszczyć! Przecież to chore...”. A gdy nie mogła już wytrzymać, wybiegała z mieszkania. Drzwi zatraskiwały się za nią z głośnym hukiem.

Jeszcze przez chwilę stała na schodach. Czekala, by Mateusz otworzył drzwi i wybiegł za nią. Ale nie było przeprosin ani obietnicy poprawy. Poczula w ustach smak zepsutej miłości. Była dość silna, by radzić sobie ze światem, ale to, co działo się z Mateuszem, przerażało ją.

Spojrzała na sufit, na poręcze, schody. Coś było nie tak. Radka lubiła te drewniane stopnie i drewniane poręcze zakończone lwimi głowami. Teraz dostrzegła, że żółta farba na ścianach wyblakła i gdzieś tam odpada z tynkiem. Pod sufitem rozsnuwały się zakurzone pajęczyny. Nigdy jej to nie przeszkadzało. Wyrośli z Mateuszem w starych domach i to, że wynajęli mieszkanie w zrujnowanej przedwojennej czynszówce, było naturalnym odruchem. Teraz czuła obrzydzenie do tego miejsca. Obrzydzenie do tego mężczyzny za drzwiami.

Zapra gnęła nowego życia. Czystego, niezalutującego stęchlizną z wilgotnych piwnic. Gdy kroki Radki cichły na schodach, Mateusz zagłębiał się w błogiej nudzie. Wreszcie nic się nie działo.

Jak zwykle zapadał w sztuczne raje emitowane w kilkudziesięciu telewizyjnych programach. Natłok obrazów szybko go męczył i Mateusz przysypiał, a wtedy śniły mu się koszmary ciężkie jak ziemia. Nie mógł się od nich uwolnić, tak że w końcu zrywał się zlany potem i wyczerpany. Zalaatywało od niego przepoconymi podkoszulkami, których nie prał, bo nie wiedział, jak nastawić pralkę. Radka z premedytacją prała tylko swoje ubrania. Nie zmywał po sobie naczyń, nie sprzątał. Radka wyzywała go od leni. Mateusz tłumaczył, że nie nawidzi rozmów kwalifikacyjnych, że w mieście zżera go stres. Zbyt wielu ludzi dokoła. Nadmiar budynków, hałasu, spalin.

Od Stolicy Radka chciała tylko dobrze płatnej pracy. To Mateusz miał zrobić karierę. Jako muzyk jazzowy. Chodził ze swoją trąbką po pubach, ale wszędzie mu powtarzali, że może grać tylko z zespołem. Próbował znaleźć odpowiednich muzyków, jakieś dwa lata, wcale nie mało. Ale nie znalazł. Brał udział w jam session po kilku koncertach, nie nawiązał jednak żadnych znajomości. Warsztaty jazzowe nudziły go. Pół roku grał na ulicach. Ludzie jednak, zamiast wrzucać pieniądze, omijali go szerokim łukiem.

Próbował sprzedawać swoje obrazy, ale szybko zabrakło pieniędzy na farby, nikt nie kupował jego dziw-

nych prac z aniołami i demonami o głowach w kształcie cebuli. Nie zdarzyło się też przypadkowe spotkanie z marszandem, który doceniłby go i wystawił w galerii. No, ale malowanie miało w końcu tylko zastąpić muzykę, będącą dla Mateusza wszystkim.

Muzyka uspokajała go, ale potrafiła też doprowadzić do takiego rozchwiania, że już nie wiedział, kto kogo kontroluje – on ją czy ona jego. Nie bał się jednak takich sytuacji. Gorzej, gdy przestawał grać, przekonany, że ktoś go do tego zmusza. Potykał się wtedy i spoglądał na siebie jak na obcego człowieka.

Po jakimś czasie już nawet nie udawał, że szuka pracy. Całymi dniami przesiadywał w mieszkaniu. Trąbka kurzyła się na szafie. A przecież jeszcze kilka miesięcy temu komponował, uczył się harmonii, słuchał dużo jazzu – Coltrane’a, Parkera, Ornetta Colemana, no i oczywiście Milesa.

Ten to był prawdziwym skurczysynem! *Kind of Blue* rozgrzało krew, kwintet z Wayne’em Shorterem, Tonym Williamsem, Ronym Carterem i Herbie Hancockiem zmusił Mateusza do myślenia, ale dopiero gdy usłyszał *Big fun*, spadły mu kapcie i już nigdy ich nie znalazł. Ten dźwięk! Trąbka podłączona pod *wah-wah* była tak kosmiczna, że Mateusz przez kilka tygodni nie mógł wylądować. Wiadomo, słuchał bluesa, przede wszystkim Howlin’ Wolfa i Muddy’ego Wattersa. Zrozumiał, kim jest Jimi Hendrix, i poznał jego natchnione solówki. Pracował nawet nad równym oddechem przy dalekowschodnich mistrzach sitaru, ale ten Miles!

Wiadomo, Mateusz słuchał klasyków – Bacha, Chopina, minimalistów spod znaku Glassa i Reicha, ale Miles! Wiercił dziurę w głowie trąbką cholernie nietaktownie. Pieprzony alfons, podżegacz wyobraźni, genialny dyrygent improwizacji, ale przede wszystkim mistrz nad mistrzami, co melodią instrumentu przedłużał uczucia wydobyte z głębi ciała. To Miles sprawił, że Mateusz sięgnął po trąbkę i zaczął dmuchać w nią jak wyposzczeni fani w gumową lalkę. To były czasy...

Mateusza tak wzięło, że zdał nawet na studia muzyczne, ale nie szło mu dobrze. Często je przerywał, wracał, starał się nadrabiać. W sumie szarpał się jakieś siedem, osiem lat (sam już dokładnie nie pamiętał), a dotarł zaledwie do trzeciego roku. Wtedy stwierdził, że uczelnia go ogranicza. Profesorowie narzucali schematy, a przecież w głowie miał tyle pomysłów. Pal lichu uczelnię! Gorzej, gdy stwierdził, że ogranicza go także zespół, który założył, by grać swoje. W tamtym czasie Mateusz dmuchał w trąbkę po osiem godzin dziennie. Zespół nazywali Big Silence, po angielsku, żeby było światowo. Ale z Kostynia do świata daleko. Ich muzyka dla większości była za trudna. Za dużo przestrzeni, za mało melodii i rytmu. Rozpadli się, bo Mateusz któregoś dnia stwierdził, że chłopaki nie wyrabiają na zakrętach, a jego wizja przerasta ich umiejętność. W Stolicy miał znaleźć lepszych. Zamiast tego znalazł samotność. Nie mógł grać z innymi ani dla innych, więc zaczął grać dla siebie.

Chciał osiągnąć stan, w którym dźwięki wypływałyby z niego bez udziału świadomości. Wiedział, że jedynym

sposobem, by to osiągnąć, jest mistrzowskie opanowanie instrumentu. Zawsze grał dużo, ale teraz nie miał nawet czasu na jedzenie. Utonął w wielogodzinnych improwizacjach, i Radka słusznie podejrzewała, że to ucieczka od świata. Próbowwała być wobec Mateusza zgryźliwa: „Skoro już jesteś taki genialny, może byś te swoje dzieła gdzieś nagrał!”. Mateusz nie słuchał. Nie miało dla niego żadnego znaczenia to, że nie nagrał płyty i skazywał na niebyt wszystkie swoje dokonania. Liczyła się chwila, w której trwał, bez świadomości.

Po kilkumiesięcznej eksplozji namiętnego grania zgubił gdzieś swobodę i spontaniczność. Pocił się, grając. Wieżę, z której słuchał podkładów, rozwalił w trakcie kłótni z Radką. Łkania i krzyki trąbki unosiły się w powietrzu same dla siebie, bojaźliwe i smętne. Sąsiedzi robili awantury. Radka też. Mateusz był przekonany, że trąbka wszystkim przeszkadza, podobnie jak on sam. No i ten jego zeszywniały palec wskazujący.

Od pewnego czasu nie potrafił skupić się na tym, co grał. Niekiedy rozpraszały go dziwne głosy dochodzące nie wiadomo skąd. Innym razem natrętna myśl, wymagająca natychmiastowego wyjaśnienia. Najtrudniejsze były jednak te chwile, gdy nawet najcichszy dźwięk, jaki wydobywał z trąbki, potężniał w nieznośny huk, który powielony echem odbijał się we wnętrzu czaszki jak w pustej hali. Nie wytrzymał. Bolało. Miał poczucie zdrady, a trąbka wylądowała na szafie.

To był początek ostatniej wiosny w Stolicy. Przestał wychodzić z mieszkania, chyba że po piwo do sklepu

za rogiem. Robił wtedy kilka kroków po popękanych betonowych płytach. Mijał okno wypełnione głową sześćdziesięcioletniego karła, patrolującego wyłysiały plac. Przechodził obojętnie koło grupki mężczyzn, którzy bez względu na porę dnia i roku sączyli full mocne. Dzielnica, choć w centrum, była oddzielona od miasta. Do placu mającego z czasem zamienić się w parking prowadziła lekko pod górkę żwirowa ścieżka, która ciągnęła się wzdłuż szarych budynków i kończyła gdzieś między zaniedbanymi ogródkami. Wszystko wskazywało na to, że to ostatnie lata tego miejsca.

W sklepie Mateusz nie zamieniał nawet słowa z gadatliwym sklepikarzem. Pragnął jak najszybciej wrócić do mieszkania. Znowu mijał karła w oknie, wspinał się po skrzypiących schodach i pospiesznie otwierał piszczące w zawiasach drzwi. Z ulgą i piwem w ręce siadał przed telewizorem. Jeśli nie wpatrywał się w ekran, to w miejsce, gdzie ściana łączyła się z sufitem. Czasami szybował myślami nad miastem i wtedy widział dachy tysięcy budynków, serpentyny ulic zapchanych pojazdami, drobne plamki nielicznych parków. Brakowało mu morza.

Lubił teraz śledzić wskazówki plastikowego budzika. Potrafił godzinami przyglądać się, jak końcówka tej dłuższej, odbita w obudowie cyferblatu, przeskakuje do tyłu po sekundowych podziałkach. Jak zaprzecza czasowi, którego naturalnym zajęciem jest pochłanianie przyszłości.

Któregoś dnia, bardzo podobnego do poprzednich, Mateusz wymyślił sobie, że zatrzyma czas i przerwie całe to dążenie do wzrostu, rozwoju i rozpadu, że sparaliżuje wszechobecny ruch siłą własnej woli i doskonale skoncentrowanym spojrzeniem obróci w kamień liczydło czasu. Łzy ciekły mu z oczu, pulsowały skronie. Wskazówka skakała, za oknem szumiały drzewa, a Mateusz starał się głęboko oddychać. W pewnym momencie wstrzymał oddech na tak długo, na ile się dało, i po spokojnym, długim wydechu czas się zatrzymał. Wskazówka sekundnika znieruchomiła na czwartej kresce po dwunastej. Telewizor był martwy. Mateusz wstał i podszedł do okna. Na drzewach nie poruszał się ani jeden liść, niebo było płytkie i puste. Okna przeciwległej kamienicy błyszczały odbitym słońcem, jakby zastygła na nich żółć. Ale gdy Mateusz uwierzył, że wszystko się zatrzymało, jedno z okien rozkraczyło się z trzaskiem, żółć wypełniająca szybę musnęła go po twarzy tchórzliwym refleksem, a z czerni przeciwległego mieszkania wynurzyła się twarz kobiety, która wrzasnęła w dół: „Józek, co ty sobie myślisz? Do domu, szczeniaku! Ile mam czekać?!” I zaraz przez podwórkowe niebo przefrunęły cztery gołębie.

Na dole bawiły się dzieci, przeważnie kilkuletni chłopcy. Jeden robił fikołki na trzepaku, dwóch pojedynkowało się kijami. Jeszcze inny kopał skórzaną piłką o drzwi jednej z komórek, gdzie składowano nikomu niepotrzebne graty. Komórki zamykały czwarty bok podwórka z trzech stron otoczonego kamienicami.

Dziesięcioletnia dziewczynka biegła za rówieśnikiem, który przed chwilą lekko klepnął ją w tyłek. Głosy dzieciaków odbijały się o ściany i okna, by ulecieć ponad szeregami komórek w stronę niedalekiego komina szpitalnej spalarni. Gdy tam docierały, ginęły w dymie po bandażach.

Mateusz powoli odwrócił się i zobaczył, że wskazówka wciąż tkwi bez ruchu. Potrząsnął zegarkiem. Sekundnik ciężko przeskoczył i zatrzymał się na trzeciej kresce po dwójce. Wysiadła bateria.

Mateusz zaczął podejrzewać Radkę o zdradę. Pewnie z nudów, choć on uważał, że ma powody. Przychodziła do domu wieczorem. Jeśli dzwoniła, by mu powiedzieć, że znowu przyjdzie późno, krzyczał, i wtedy zjawiała się dopiero na drugi dzień. Noce bez Radki były męczące. Nie mógł zasnąć. Przeszkadzały mu natrętne majaki, w których ukochana wiła się w grzęzawisku męskich ciał. Radka tymczasem przesiadywała u koleżanek i wyplakiwała swoją delikatną urodę.

Doszło do tego, że jeśli spędzali noc razem, kłócili się natychmiast po przebudzeniu. Trzaskali drzwiami. Rzucali w siebie talerzami i szklankami. Awantury na pewno słyszeli sąsiedzi. Mateusz wybił szybę, rozwalił półki i połamał krzesło. Zranił sobie dłoń o ścianę. Szarpali się tak od dobrych kilku miesięcy. Nigdy jednak nikt nikogo nie uderzył. Przestali ze sobą sypiać. Mateusz zaczął bać się siebie, a Radka Mateusza.

Czy to z naiwności, czy dlatego że słabo orientował się w subtelnościach kobiecych uczuć, Mateusz wciąż wierzył, że mimo toczonej wojny ich miłość przetrwa. Co innego Radka: ona zaczęła wierzyć oddzielnie, poza nim, bez niego i na pewno nie w miłość – może w pracę, może w nowe mieszkanie, może w nowego chłopaka. „Przecież się kochamy! Aniele mój, nie opuszczaj mnie...” – próbował jeszcze nieśmiało, ale Radka zatrzasnęła za nim drzwi.

Z plecakiem brudnych ciuchów, trąbką i teczką pogniecionych szkiców ruszył w stronę dworca. Przed sobą miał kilometrowy spacer. Drażniła go natarczywość samochodów tłoczących się w korku. Słońce tonęło w mdlących spalinach. Mateusz szedł po ocienionej stronie ulicy, na którą chłód rzucały masywne dziewiętnastowieczne gmachy dwóch banków, poczty i sądu. Trochę dalej ciągnął się mur aresztu. Ale Mateusz przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie nowoczesny kompleks handlowy, z kinami i parkingami, kończył się przebudowywanym budynkiem Dworca Głównego. Z komunistycznej maszkarę próbowano zrobić oszkloną oranżerię. Pomyślał, że lepiej byłoby postawić nowy.

Rzeczywiście, rozkopane centrum nie należało do pięknych. Trwała budowa kolejnych galerii handlowych i biurowców. Olbrzymie dźwigi błyszczały w słońcu. Ciężarówki powoli przesuwwały się w gęstym trójszeregu. Ruchliwy tłum przeciskał się pomiędzy pojazdami.

Twarze mijanych ludzi były rozlepione na głowach jak plakaty niemo informujące o starych spektaklach. By

nie patrzeć w narysowane oczy i usta, Mateusz spuścił wzrok. Skąd wytrzasnął te czarne lakierki? Może Radka kupiła mu je na rozmowy kwalifikacyjne? Czarne plamy butów na zmianę ukazywały się w kwadracie chodnika. Deptał zygzakowaty polbruk, którego kanciaste spoje-  
nia zaczynały lekko falować i wyciągnęły się w nieskoń-  
czone pięciolinie. Sznurówki lakierków rozmazały się i wtopiły w eliptyczne główki nut. Wystukiwały rytm, który natychmiast podjęły buty tłumy. Tłum swingo-  
wał. Klaksony dźwięczały krzykliwym zadęciem trąb-  
ki. I choć Mateusz nie był w formie, musiał sprostać rozbestwionemu rytmowi. Zaczął oddychać tak, jakby grał. Usta zwinęły mu się w rybi pyszczek. Wpadł mu w ucho zadziorny, pokiereszowany temat, który moż-  
na było fantastycznie zaokrąglić. Perkusista wyłapywał każdą subtelność, podkreślał i prowokował do kolej-  
nych rozwiązań. W pewnym momencie udało się im połączyć nieprawdopodobne *unisono* talerzy (robotnicy spawali nowoczesną konstrukcję dworca) z dźwięcz-  
nym tematem na trąbce (zahamowały dwa, trzy, czte-  
ry samochody), zakończone tremolem na werblu, gdy komuś pękła plastikowa siatka: zakupy się wysypały, a owoce potoczyły po chodniku bezwładną lawiną. To jednak nie był koniec, bo pomruk przepychających się przez miasto ciężarówek powołał do życia bas, który podchwycił temat i rozwinął w funkowe pulsowanie. Znowu zaczęła się pogoń.

Do wagonu Mateusz wpadł zdyszany. Piekło go w okolicach serca. W ciszy przedziału ulga trwała za-

ledwie chwilę, bo gdy tylko pociąg ruszył, natychmiast narzucił mu monotony stukot – marsz wojska ku zagładzie. Niełatwo wykrzesać z tego uczucie. Mateusz próbował równo oddychać, by przejąć kontrolę nad muzyką, przetopić mechaniczny rytm w płynne pulsowanie serca. Albo zatrzymać czas, zatrzymać czas! Uzywać pauzę. Z pauzą nastanie cisza. Pauza!

Pociąg zatrzymał się ostatni raz w granicach Stolicy. Wsiadło kilka osób. Muzycy posłuchali Mateusza i ucichli. Trochę go to zdziwiło, bo przecież już dawno przestał być liderem zespołu. A potem ruszyli spokojnie, razem, bez ucieczek w indywidualne improwizacje. Lekki, orzeźwiający swing z lat czterdziestych. Jak najdalej od awangardy. Za oknem płynnie falowały linie trakcji elektrycznej. Wsporniki masztów układały się w kreski taktowe. Połączenia kabli zaplatały krzyżyki i bemole, które próbowały coś podpowiedzieć. Jednak Mateusz uparł się, by podróż przebiegała rytmiczną frazą, w prostym metrum, bez nieprzewidzianych skoków wyobraźni. Ale choć bardzo się starał, na falującej za oknem pięciolinii zaczęły ukazywać się niepokojące cienie, niewielkie kłęby kurzu, niby plamy na oku, zapis dziwacznych szeptów.

Pociąg wyjechał z gęstego lasu i wpadł w otwarte ramiona płaskich pól. Jednolity brąz ziemi odcinał się równą linią od zachmurzonego nieba. Monotonie krajobrazu urozmaicały pojedyncze samochody. Jak w zwolnionym filmie sunęły przez pola wąskimi szosami, wzdłuż których rosły szpalery starych topoli. Co

jakiś czas ukazywały się poszarzałe od wilgoci skupiska paru bloków, niepasujące do otoczenia. Pojawiały się też czyste i zadbane gospodarstwa, otulone ciepłymi zagajnikami świerków i buków, które rozszerzały się w ciemnozielone lasy. A później znowu pola – i tak na przemian.

Gdy po prawej stronie rozbłysła cienka nitka rzeki, wiadomo było, że pociąg zbliża się do Kostynia. Najpierw minie niemieckie zakłady produkujące okna i holenderską fabrykę frytek. Później przemknie między domkami jednorodzinnymi i zacznie hamować na wysokości supermarketów, podstępnie wybudowanych w samym sercu miasta. Nie było już małych sklepików z towarami spiętrzonymi jeden na drugim. Za ladą brakowało sprzedawcy, który zachwyciłby się wczorajszym meczem albo pytał o zdrowie najbliższych. Żadnych dzielnicowych plotek i najnowszych kawałów. Teraz, by kupić butelkę piwa, trzeba stać w kolejce do kasy, bez szans na rozmowę o pogodzie, bo klient za tobą pogania: szybciej, szybciej. Jedna z dziesięciu sprzedawczyń, zmęczona i rozdrażniona, bez słowa nabija cenę i rzuca wyuczone: „Zapraszamy ponownie”. Wcale nie chciało się tu wracać.

Ludzie w przedziale budzili się. Za chwilę stary, polniemiecki dworzec zacznie straszyć zardzewiałymi słupami, na których ledwo trzyma się dziurawy dach.



## Podziękowania

Dziękuję Filipowi Modrzejewskiemu za wsparcie w pracy nad książką oraz Piotrowi Ostrowskiemu za film.

Dziękuję także Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego za stypendium z Funduszu Promocji Twórczości.

D.O.



## Spis rzeczy

CZĘŚĆ I	7
Przebudzenie	9
Powrót	16
Kostyń	31
Niespotkanie	33
Najzwyczajniejsze małżeństwo świata	39
Konfesjonał	41
Wyrzuty	47
Zbędny	53
Kąpiące się	64
Big Fun	66
Zbędny	76
Pająk i mucha	78
Zwykłe życie	82
Sztuka latania	87
Po ścinki	94
Nowa ziemia, nowi ludzie	97
Kasjerka	112

CZĘŚĆ II	117
Film	119
Boję się	133
Wieczny spacer Hohendorffów	139
Drzewa	143
Odosobnienie	148
Dziura w ziemi	155
Przysłowia podziemne	158
Sztuka spadania	161
Poza wyborem	169
Kuglarze	172
Rytuły	177
Kronika rodu	183
Piekło	186
Wieczny spacer Hohendorffów	191
Widowisko	193
Czyste upojenie	197
CZĘŚĆ III	203
Świrowo	205
Miraże	211
Dzieci Pałacu	220
Szczuraki	227
Ludzie Świrowa	231
Telefon	239
Triumf śmierci	241
Biel	245
Trzy noce	247

Rozśpiewana Marysia	250
Goście	253
Święta	260
Podróże w miejscu	264
Psiamać	266
Bomba sezonu	271
Głowy głupków	279
Pełnia	283
CZĘŚĆ IV	289
Wiosna	291
Wodni	301
Wyrzuty	306
Piknik na wydmach 1934/2009	312
Zachwycenie	316
Komunia	319
Dziecięce zabawy	323
Apokalipsa?	326
Dyrygent	335

Redaktor serii: Dariusz Sośnicki  
Redakcja: Dariusz Sośnicki  
Korekta: Donata Lam, Małgorzata Denys  
Redakcja techniczna: Anna Gajewska

Projekt okładki i stron tytułowych: Mariusz Filipowicz,  
[www.360stopni.com.pl](http://www.360stopni.com.pl)  
Fotografia autora z archiwum prywatnego

Wydawnictwo W.A.B.  
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5  
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11  
[wab@wab.com.pl](mailto:wab@wab.com.pl)  
[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne  
Piaseczno, Żółkiewskiego 7a  
Druk i oprawa: DRUK-INTRO S.A., Inowrocław

ISBN 978-83-7414-488-9



*Istnieją miejsca, gdzie światy urojone szczególnie łatwo mieszają się z rzeczywistością. Jednym z takich miejsc jest Kostyń. Bliskość zimnego morza, wiatr, krzyki mew i powracająca plaga szczuraków – wszystko to sprawia, że lęki chodzą tu ulicami, a umarli oddychają powietrzem żywych.*

*Daniel Odija*

Daniel Odija (ur. 1974) – prozaik, dziennikarz. Autor zbiorów opowiadań *Podróże w miejscu* (2000), *Szklana huta* (2005) oraz powieści *Ulica* (2001), *Tartak* (2003) i *Niech to nie będzie sen* (2008). *Tartak* znalazł się w finale Nagrody NIKE 2004, był także nominowany do Nagrody im. Józefa Mackiewicza. Odija publikował m.in. w „Tygodniku Powszechnym”, „Gazecie Wyborczej”, „Playboyu” i antologiach literatury współczesnej. Jego książki ukazały się w przekładzie na język francuski, niemiecki i ukraiński. Mieszka w Słupsku.

patronat medialny

onet.pl

dla studenta.pl

G punkt.pl  
zapomnij o biblii

INDEPENDENT

WALCZKA.NET

GILDIA.PL

9 78-83-7414-488-9



9 788374 144889

cena 39,90 zł